

Dlaczego kibice Legii mogą tylko śnić
o przebudzeniu?

Felietonowy debiut

Wojciecha Kuczoka

w „Rzeczpospolitej”



A16

www.rzeczpospolita.pl

Wtorek, 26 października 2004

NR 252 (6935)

RZECZPOSPOLITA



252 (6935) 26 października 2004

WYMIANA KOSZULEK

Sen o przebudzeniu

WOJCIECH KUCZOK

Ostatni tom Kolekcji Klubów – serii towarzyszącej encyklopedii piłkarskiej niezmordowanego Andrzeja Gowarzewskiego – nosi tytuł „Legia to potęga”. Autorzy tym samym już na wstępie deklarują, że ta pozycja ma reprezentować specyficzny podgatunek publicystyki sportowej, a mianowicie tzw. oniryzm piłkarski.

Cała futbolowa Polska od dawna bowiem ledwie śni o potędze, a fani warszawskiej Legii być może w ostatnim czasie nieco intensywniej się we śnie szamoczą z pościelą. Już sama okładka książki Gowarzewskiego jest oniryczna podwójnie: oto na kolorowe zdjęcie współczesnych szalikowców stołecznego klubu, przykrytych gigantycznym prześcieradłem pomalowanym w klubowe barwy, nałożone są fotografie największych gwiazd przeszłości – Deyny, Brychczego i mistrzowskiej jedenastki Vejvody. Wielkoformatowe płachty z klubowymi herbami stają się coraz modniejszym wśród polskich kiboli sposobem na odgrozdzenie swojej krainy snów od ponurej boiskowej rzeczywistości.

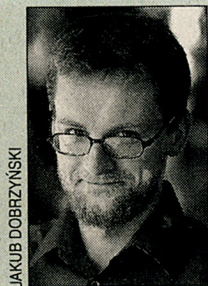
Łatwiej śnić o podbojach Europy, kiedy flaga klubowa przykrywa cały sektor i uniemożliwia naoczną weryfikację np. podczas kolejnej haniebnej porażki z piłkarskim prowincjuszem. Łatwiej wywoływać duchy przeszłości na czarno-białych kliszach pamięci, niż patrzeć, jak się legendy męczą na trenerskiej ławce (pod tym względem śp. Kazimierz Deyna ma się lepiej od Lucjana Brychczego, bo zamiast firmować swoim nazwiskiem ze szkoleniowego boksu poczynania mniej zdolnego pokolenia legionistów, może już co najwyżej przewracać się w grobie). Ze snu o potędze wzięła się potrzeba zatrudnienia zagranicznego trenera; takiego, co to mógłby znaleźć antidotum na senny styl Legii, która właśnie przespia kolejną rundę jesienną.

Polską specyfiką jednakowoż jest pewna odwrotność proporcji: im szybciej zwalnia się jednego trenera, tym opieszalej przebiegają działania mające na celu zatrudnienie nowego. Kubicki prędzej czy później musiałby wylecieć, bo odejście Aleksandra Vukovicia było zaniedbaniem katastrofalnym i stratą niepowetowaną – a trener w takich sytuacjach zawsze może robić dobrą minę do złej gry i upierać się, że nie ma ludzi niezastąpionych, albo podać się do dymisji, przyznając, że jego koncepcja składu legła w gruzach. Po upokorzeniu w Pucharze UEFA nikt już by się na minę Dariusza Kubickiego nabrać nie dał, tłum żądał ukarania winowajców, więc zarząd wyrok na koziołku ofiarnym ku ucieście gawiedzi wykonał.

Wyśniono sobie w Warszawie czeskiego następcę, bo naturalna tu jest tęsknota za wielką drużyną Vejvody, a i za ostatnie Legii sukcesy na krajowym podwórku odpowiadał trener zagraniczny Okuka Dragomir. I wymyślono Chovanca Josefa, fachowca z dorobkiem i nazwiskiem, gwarantującego, że znajdzie sposób na piłkarzy nierozumiejących, co się do nich mówi po polsku. Otóż nie znajdzie, bo sam się znaleźć nie chciał, za to w najlepsze grał w ciuciubabkę z włodarzami Legii, podbijając stawkę miesięcznego wynagrodzenia i tym samym sprawnie „badając rynek”. Sprawa Chovanca daje do myślenia tym genealogom, którzy są zwolennikami teorii dziedzicznych cech rodowych ukrytych w nazwiskach...

A fanom Legii pozostaje sen o przebudzeniu. Sen zapowiada się długi i twardy niczym letarg rycerzy w podziemiach Giewontu – spodziewana wymiana Dariusza na Dariusza nie zwiastuje rewolucji. ●

Od redakcji: Felietony Wojciecha Kuczoka ukazywały się będą na sportowej stronie „Rzeczpospolitej” w każdy wtorek.



JAKUB DOBRZYŃSKI